

Warszawa dnia 8 (20) Marca 1867 roku.

Nr 12. | Cena w Warszawie **20** kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych **75** kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

Od Redakcji.

Opiekun Domowy w tych samych jak dotąd warunkach wychodzić będzie w Kwartale II-m r. b. Upraszamy o wczesne zapisywanie się na właściwych stacjach pocztowych, gdyż od tego zależy regularność w odbiorze, zwłaszcza pierwszych Numerów w nadchodzącym Kwartale. Wszystkim nowym prenumeratorom tak na prowincji jak w Warszawie, za zgłoszeniem się wprost do Redakcji, czy to osobistem czy piśmiennem, wydane zostaną bezpłatnie te N-ra Opiekuna Domowego, w których mieści się rozpoczęta powieść: „**Dziwni Ludzie.**”

Jeżeli komu z ubiegłego czasu brakuje jakich Numerów pojedyńczych, takowe na prowincję własnym kosztem przesłać jesteśmy gotowi.

Komplety zbroszurowane Opiekuna Domowego z 1865 i 1866 roku, nabyć można w Redakcji, po rubli srebrem 3 za Tom jeden.

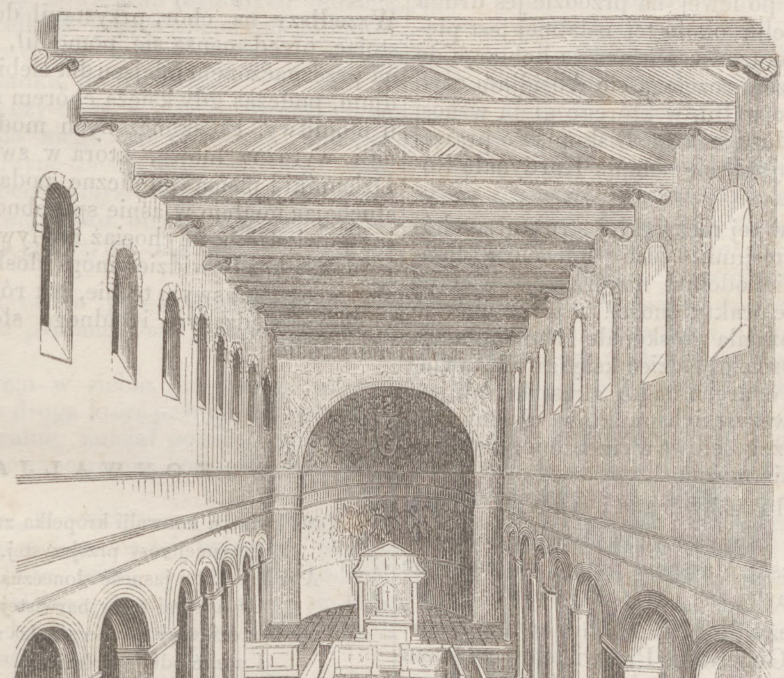
WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY DO WŁOCH

PRZEZ

Leona Kunickiego.

BAZYLIKA SAN - CLEMENTE W RZYMIE.

Podczas kilkutygodniowego pobytu mojego w Rzymie, kochany rodak mój Ko:, który od dawna już w Świętym grodzie przebywając i znając go doskonale, ze wzorową cierpliwością był moim Cicerone, t. j. przewodnikiem w wycieczkach po Rzymie—zaprojektował mi dnia pewnego, zwiedzenie jednej z najstarożytniejszych świątyń Rzymskich San-Clemente. Tem więcej byłem zaciekawiony, że dnia tegoż po południu miała się tam odbywać ceremonja ingressu świeżo na godność Kardynalską wyniesionego Arcybiskupa z Rouen M-ro Bonnecohss, który zwyczajem kościelnym, obejmował w posiadanie kościół Św. Klemensa, a do tego przywiązane było, że i tytuł od niego przybierał.



Kościół Świętego Klemensa w Rzymie. (Rysował Polkowski—wycięto w drzeworytni Minhejmera)

Bazylika ta leży na jednym ze znanych siedmiu pagórków Rzymu na Esquilinum, pomiędzy Colloseum a Santa Maria-Maggiore na południe Thermów Tytusa, kędy wznosiła się Villa i ogrody Mecenasa, i jest jedną z najciekawszych w Rzymie, z przyczyny, że zachowała formę bazylik pierwotnych.

W roku 392, już Ś-ty Hieronim o niej wspomina; kilka razy restaurowana, w stanie w jakim jest dziś ostatnio odnowioną została na początku XVIII wieku przez Klemensa XI Papieża, który oprócz innych odnowień i dach jej pozłocił.

Przed kościołem rozciąga się czworokątne atryum czyli przysionek z portykami.

Wnętrze składa się z trzech naw, z których najszerszą jest środkowa.

Pośrodku kościoła wznosi się wywyższenie służące za chór, otoczone ballustradą marmurową, na które się wchodzi po kilku stopniach, na tem wywyższeniu jest ołtarz z pięknem Cimborjum, w ten sposób umieszczony, że ksiądz Mszę Ś-tą odprawiający, zwrócony jest twarzą ku głównej nawie kościelnej, Sanctuarjum odłączone jest również od chóru schodkami i galeryjką z marmuru. Po prawej stronie otłarza, jest ambona służąca od czytania Epistoły i dla śpiewaków, po lewej na przodzie jes druga dla czytania Ewangelji; około tej ostatniej jest piękna kolumna marmurowa, służąca za lichtarze do Paschalu. Za ołtarzem rozciąga się Absidjum czyli nisza półkólistego kształtu, w którego głębi wznosi się na trzech gradusach tron Biskupi. Po prawej stronie tej niszy, znajduje się pomnik Kardynała Rovarella z XV wieku.

Rozpatrując się w tej niezwykłej strukturze chóru, ołtarza i presbyterjum, według starochrześcjańskiego porządku, niepodobna nie przyznać wielkiej w każdym szczególe praktyczności. Ołtarz z chórem tak wzniesiony, pozwala doskonale każdemu znajdującemu się w kościele widzieć księdza odprawiającego Najświętszą ofiarę, a nadto akustyka tak jest zachowaną, że ze wszystkich punktów choćby najdalszych, najmniejszego słowa wyrzeczonego w Presbyterjum, stracić nie można.

Sklepienie po nad Prezbyterjum jest z XIII wieku.

Po lewej stronie kaplica zwana Capella della pasione, posiada freski Massacja przez czas znacznie uszkodzone, po prawej zaś jest Zakrystja.

Kościół ten należy do XX. Dominikanów Irlandzkich a z których Generałem Przewielebnym Ojcem Zandell, zapoznał mnie tegoż dnia w Zakrystyi kochany mój rodak. Generał Francuz podobno, przyjaciel od serca śp. Lacordaira, pięknej, szlachetnej, wyniosłej postawy i nie stary jeszcze czlowiek, a przytem nadzwyczaj miły i uprzejmy, nader sympatyczne na mnie uczynił wrażenie.

W Zakrystji kościelnej oglądałem litografje i fotografje szacownych zabytków i pamiątek z niedawno odkrytej pod tymże kościołem podziemnej świątyni. W pobocznych nawach widać było w odjętej posadzce otwory tego nadzwyczaj ważnego i ciekawego podziemia. Gdyśmy weszli do kościoła, zastaliśmy tam straż Szwajcarską z Watykanu, stojącą przy wejściu do owego wzniesionego chóru i przy drzwiach wchodowych spostrzegaliśmy nie mały ruch wchodzących głównemi i bocznemi z lewej strony drzwiami, księży świeckich i zakonnych, opatów, fjoletowych i błękitnych dygnitarzy, kardynałów, biskupów, generałów i przełożonych zakonnych przeróżnych. Znakomitszych wpuszczano do chóru i tam zajmowali krzesła po obu stronach ołtarza; oprócz tych cały prawie sztab Francuzki w galowych mundurach. Pan de Sartige ze składem swego poselstwa i Francuzi bawiący w Rzymie, wszyscy chcąc uczcić Kardynała krajowego, przybywali tu tłumnie.

Dominikanie z wodą święconą i kadzielnicą, uszykowani we dwa rzędy, oczekiwali przy drzwiach wchodowych przybycia Kardynała.

Niebawem odezwały się dzwony kościelne i doszedł do uszu naszych turkot zajeżdzających powozów. Zabrzmiały organy i Kardynał z orszakiem, ukazał się w progu Świątyni. Przed orszakiem postępował tak zwany *Artista* czyli metr ceremonji, urzędnik w mundurze granatowym ze złotemi haftami. Zanim kardynał w pąsowej sukni, w krótkiej białej komeszce, z pąsowem długiem okryciem od głowy na plecy spadającem i niesionem wraz z ogonem sukni przez pazia, oraz orszak złożony z księży we fjoletach i czarnych sukniach, z Szambelanów Papiezkich w strojach galowych i ze sług w liberji na końcu. Przeżegnawszy się wodą święconą i przyjąwszy hołd kadzidłem od Dominikanów, Kardynał błogosławiąc, postępował z orszakiem ku ołtarzowi. Wszedłszy na chór, przystąpił do ołtarza i chwilę stojąc, przed mensą się pomodlił, następnie zasiadł na przeznaczonem miejscu dla siebie, tronie w Absidjum, podczas gdy księża chórem stosowne śpiewali modlitwy. Po skończonych modłach, miał płynną i wyraźną mowę, ktora w swoim czasie przez Dzienniki i pisma publiczne podaną była, a której słuchając miałem właśnie sposobność ocenić to, com już powiedział: że chociaż napływ osób był wielki, jednakże każdy widzieć mógł doskonale Kardynała siedzącego na swym tronie, jak również wszystkich w chórze siedzących i żadnego słowa z jego mowy nie stracić.

KONWALJA.

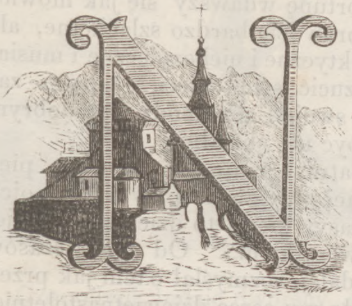
Na kwiatku konwalji kropelka zawisła
Porannej rosy przejrzystej,
A w kropli tej jasność słoneczna zabłysła
Promieńmi tęczy barwistej.
Na lica dziewicy błyszcząca łza spadła
I uczuć odbija promienie,
A w łezce tej jasnej myśl moja odgadła
Gorące serca płomienie.
Kwiateczek uroczą białością jaśnieje,
A listki piękną zielenią,
Nie lęka się skwaru, ni chłodnej zawiei,
Bo drzewa go blizkie ocienią;
Tak postać dziewczęcia zachwyca skromnością,
A serce do szczęścia się śmieje,
Osłoni ją młodzian przed życia przykrością
Bo dusza w niej piękna jaśnieje.

Władysław Olszowski.

DZIWNI LUDZIE.

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy.* — Obacz Nr. 8, 9, 10 i 11).



IX.

W kościele.

Nie będziemy się rozszerzali zbytecznie nad tem, co się działo w duszy pana Michała podczas tej podróży.

Pierwszy raz od przyjazdu do Warszawy, wydostał się on z pod wpływu swego mniemanego przyjaciela, pierwszy raz wyszedł chwilowo z tego trybu życia w jaki go ten przyjaciel wprowadził i pierwszy raz podczas długiej drogi, miał sposobność poważniej pomyśleć nad sobą.

Spojrzał za tem w siebie i zadrżał.

Młodość jego pokazała mu się taką, jaką była w istocie: skalaną powiewem brudnych hulanek, pozbawioną wszelkich szlachetniejszych popędów, wprowadzoną na drogę, która wiodła,—już nawet przywiodła do upadku, do zbrodni.

Zapytał siebie czy to życie jakie prowadził przez rok cały, było dla niego tyle ponętnem, tyle rozkosznem, tyle przynoszącem wewnętrznego zadowolenia, albo chociaż zmysłowej uciechy, że warto je było opłacić nie tylko utratą mienia mogącego wystarczyć na całe życie, ale nawet utratą honoru?

I sumiennie z całem przeświadczeniem, umiał na te wszystkie pytania dać jedną odpowiedź przeczącą.

Po takim wejściu w siebie, po takiem uznaniu wewnętrznem, że droga którą postępował była złą— pan Michał naturalnie musiał powziąć najważniejsze jak potrafił postanowienie, cofnięcia się stanowczego z tej drogi.

Przysiągł sobie, że wejdzie na drogę pracy.

Nim jednak do wykonania tej przysięgi przyjść mogło, trzeba było ofiarą wioski dziedzicznej, a choćby nawet ostatniego surduta pozbyć się kuli, która mu jakby do nóg przywiązaną była i wszelkie jego ruchy utrudniała.

Tą kulą galernika dla pana Michała, był ów nieszczęsny weksel zostający w ręku lichwiarza.

Pan Michał widział, że nic go już ocalić nie może od konieczności sprzedania wioski pierwszemu który będzie miał chęć zakupu, choćby z najwidoczniejszą stratą; wiedział, że po spłaceniu wekslu nie pozostanie mu prawie nic, prócz dwóch rąk i dziesięciu palcy; — mocny jednakże szczerą chęcią porzucenia źle skierowanej drogi, otrzaskał się z łatwością z tą myślą i był przekonany, że mu sił do pracy na życie i wytrwania do boju z nędzą wystarczy.

To przekonanie wpłynęło dobrze na jego umysł, i rozpogodziło cokolwiek jego czoło, nad którem obawa i smutek ołowianemi ciężały chmurami.

Nie ma bo lepszego lekarza na choroby moralne, jak jakakolwiek, choćby najwątpliwsza nadzieja.

Nadzieje pana Michała zdawały się ugruntowane jak najlepiej. Miał jeszcze dosyć czasu przed sobą, miał jeszcze wioskę jakkolwiek mocno obdłużoną, lecz której sprzedaż choćby z największą stratą zawsze uratować go mogła od hańby, na jaką bogaty drogo okupionem doświadczeniem, był pewny, że się więcej nie narazi. Nie przychodziło mu więc na myśl, że los czasem zwykł zawodzić najzasadniejsze nawet obliczenia ludzi i wprowadzając odrazu w życie, tym razem wprawdzie z musu, — postanowienie oszczędności i porządku w postępowaniu, z weselszą już myślą puszczał się z Radomia do Opatowa najtańszą jaka mu się trafiła furmanką.

Z Opatowa zamiast wprost bocznemi drogami udać się do Suchej Woli, postanowił udać się do Sandomierza, myśląc, że tam mu się powiedzie rozpocząć poszukiwania nabywcy.

Za przybyciem na miejsce, porobił kroki przedwstępne, a mianowicie powierzył kilku znajomym faktorom rozpytywanie się i prowadzenie szybko interesu, przyrzekając im dobre wynagrodzenie, a sam bez straty czasu pchnął się dalej najętą bryczką.

Pięć mil już tylko oddzielało go od domu, który przed rokiem przeszło opuścił szczęśliwy jeszcze wówczas i swobodny.... a dziś!...

Było to w Niedzielę rano. W Koprzywnicy zatrzymać się było trzeba kilka godzin dla popasu...

Nie mając co robić z tym czasem, pan Michał zaszedł do kościoła poraz pierwszy od czasu jak wieś opuścił, bo pod czcigodnem przewodnictwem pana Ignacego, poznał wprawdzie wszystkie zakątki i zaułki Warszawy, wiedział nawet o najciemniejszych ale dla jakiegobądź powodu ponętnych dla hulaków knajpach, na odwiedzenie jednak pięknych świątyń nadwiślańskiego grodu, — chociażby z prostej ciekawości tylko, — nie zostawało mu nigdy czasu i brakowało zawsze sposobności.

W kościele błogi jakiś spokój wstąpił w duszę Szerepy.

Modlił się krótką chwilę polecając Niebu spełnienie swoich nadziei, a gdy mu wkrótce słów do modlitwy zabrakło, stojąc na uboczu, zaczął się rozglądać po osobach znajdujących się w kościele.

W presbiterjum w bliskości wielkiego ołtarza, gdzie zwyczajem wiejskim zasiada w czasie nabożeństwa obywatelstwo, dostrzegał wiele znajomych twarzy i z ciekawością im się przypatrywał.

Nikt z obecnych w kościele nie zdawał się go poznawać, pan Michał bowiem przez rok pobytu w Warszawie, zmienił się prawie do niepoznania. Wąs mu się puścił prawda bujny i obfity, ale za to cera wybladła i przywiędła, twarz z okrągławej i pełnej, zrobiła się podłużną i wychudłą, oczy dziwnym jakby chorobliwym rzucały blaskiem... Poznanoby go może, gdyby wszedł ubrany odpowiednio do pory roku, otulony ciężkiem futrem które znali wszyscy, gdyby zasiadł tam gdzie mu jego stanowisko obywatelskie miejsce dawało. Stojąc skromnie na stronie, ubrany w niezbyt ciepłe choć wcale eleganckie Warszawskiego kraju palto, starzej nad wiek wyglądający,—obcym się wydawał dla każdego i mniej zwracał na siebie uwagi, a raczej nie zwracał jej wcale.

W liczbie osób zasiadających w pośród obywa-

telstwa w bliskości ołtarza, jedna prześliczna młoda twarzyczka, szereg najdroższych wspomnień lat młodzieńczych nasunęła panu Michałowi.

Przed ośmią laty jeszcze, będąc zaledwie czternastoletnim chłopcem, poznał on o cztery lata młodszą od siebie dzieweczkę, w domu jednego z dzierżawców dóbr rządowych pod Koprzywnicą.

Obojgu, choć ani się śniło pewno wówczas o miłości, a przecież polubili się szczerze i choć nie często widywać się mieli sposobność przez ciąg następnych lat siedmiu, zawsze przecież czuli do siebie jakiś pociąg sympatyczny, któremu tylko błyskawicznego przelotu iskry elektryzującej dwa serca brakowało, ażeby się w miłość zamienił.

Dziewczęciem tem, dziś ośmnastoletnią już dziewicą, rozwiniętą w całej pełni wdzięków, była Anna Strzyżówna, sierota, lub tak prawie jak sierota, gdyż matkę utraciła w dzieciństwie, a o ojcu podobnież od dzieciństwa najmniejszej nie było wiadomości.

Ojcem jej był człowiek, którego przed czternastu laty w jednej prawie chwili, spotkały dwa najstraszniejsze nieszczęścia.

Pan Strzyż był żonatym, kochał swą żonę i stracił ją tegoż samego dnia, w którym dała życie synowi, młodszemu od córki o lat cztery; był bogatym prawie, a przynajmniej bardzo zamożnym obywatelem, cieszył się że pozostawi swym dwojgu dzieciom czyste i dostatnie mienie zbieg różnych nieszczęść i wpływ złej woli ludzi, w epoce śmierci żony zrujnował go zupełnie.

Dwa te ciosy złamały go.

Może nie czując się na siłach do dalszej walki z losem, a może pragnąc do niej mieć wolniejsze ręce, postanowił zadać gwałt ojcowskiemu sercu, i rozstać się ze swemi dziećmi na długo.

Udał się więc do jednego swego przyjaciela, od ławy szkolnej, od lat dziecięcych prawie jednego, który w chwili ruiny majątkowej nie ostygł dla niego jak inni i powierzając mu dzieci swoje, rzekł do niego:

— Bądź dla nich ojcem póki ja nie wrócę, a jeśli nigdy nie wrócę, bądź dla nich opiekunem zawsze.

W odpowiedzi na te proste słowa otrzymał przysięgę przyjaciela, że nad jego drobną dziatwą czuwać będzie po ojcowsku; puścił się w świat i z razu rzadkie tylko o nim dochodziły wiadomości, a później wcale ich zabrakło.

Tym przyjacielem co od lat czternastu dochowywał święcie przysięgi danej zrozpaczonemu ojcu i wychowywał jego dzieci jak swoje, był pan Rafał Kwadracki, dzierżawca dóbr rządowych w Lubelskiem, który od ośmiu lat dopiero przeniósł się w Sandomierskie i zadzierżawił Swierzycę.

Dla dwojga dzieci nad któremi przyjął opiekę, dla Anny i Stanisława Strzyżów, był pan Rafał z całem wylaniem ojcowskiej miłości. Poświęcenie swe dla nich posunął aż tak daleko, że w obawie o siebie samego, żeby mając swe własne dzieci nie przestał kochać i pielęgnować z równą miłością dzieci przyjaciela, postanowił nie żenić się wcale, chociaż i gospodarstwo potrzebowało pomocy kobiecej—i zamożny, gospodarny, a do tego w samej sile wieku i przyjemnej powierzchowności pan Rafał, był pożądanym za zięcia w niejednym domu obywatelskim.

Przez długi czas swatowie powiatowi i swatki parafialne, wysilali się na przełamanie tego postanowienia, rając mu jak najlepsze partje, pan Rafał jednak był nieubłagany.

Ztąd dzierżawcę Świerzycy, nazwano także dziwnym człowiekiem i długo sobie rozpowiadano po sąsiedztwie o dwóch dziwnych ludziach, z których jeden stracił fortunę wdawszy się jak mówiono w głupstwa, wprawdzie bardzo szlachetne, ale za to bardzo niepraktyczne i niebezpieczne i musiał skutkiem tego porzucić swe dzieci, — drugi zaś przyjął te dzieci za swoje i aby módz być dobrym opiekunem, ojcem być nie chciał.

Młody Szerepa patrzył z upodobaniem na piękne dziewczę, siedzące przy swym przybranym ojcu i wspomniał owe czasy, kiedy to dziewczę było jeszcze małem dziewczątkiem... Od tych czasów przechodząc coraz dalej, rozmyślał o tem jak przed kilku jeszcze laty biło mu serce dziewiętnastoletnie, gdy przypadkiem spotykał dorastającą już wówczas piękną Andzię, a myśląc o tem uczuł, że mu po roku niewidzenia serce biło tak samo jakoś jak przed rokiem, gdy patrzył w jej cudną twarzyczkę.

Byłby pewno tak patrzył dłużej i byłby może spostrzegł, że i on był ujrzanym i poznanym;... ze spotkania wzajemnych spojrzeń, byłaby może trysnęła ta święta iskra, co ludzi nieraz pierwszy raz się widzących od razu przemienia w kochanków, gdyby nie rozpoczęło się kazanie.

Ksiądz proboszcz Koprzywnicki mówił owej niedzieli: o potrzebie częstego wglądania w siebie samego, zdawania sobie sprawy ze swych czynów, sądzenia ich według głosu jakim sumienie przemawia do człowieka i kontrolowania tym sposobem swego moralnego mienia, tak jak skrzętny gospodarz kontroluje swe dochody i rozchody, swój majątek, swój dobytek.

Pierwsze słowa jakie z ambony dobiegły do pana Michała, uderzyły go głęboko.

Słuchał dalej i idąc za radą kaznodziei, badał sam siebie, swoją wartość wewnętrzną i zakrwawiło mu się serce na myśl, ile w tak krótkim czasie stracił z tego dobytku moralnego, o jakim mówił ksiądz proboszcz.

— I czegóż ja tu stoję i na nią patrzę? — mówił do siebie, — sam Bóg zda się powiedział do mnie, wejrz w siebie i zobacz czy byłbyś godnym takiego czystego anioła. Im pilniej patrzę w swoją duszę, tym się mniej poczuwam jej godnym. A więc..... precz z marzeniami... Otrząsnijmy się z błota.... pracujmy... a potem... kiedyś... może...

Szerepa spuścił oczy w ziemię nie śmiejąc spojrzeć więcej na wybrankę swych lat młodzieńczych, a po chwili ze łzą zabiegłem okiem opuścił kościół, wsiadł na bryczkę, niechcąc widzieć nikogo ze znajomych i wyruszył z miasta ku Osiekowi.

Usunąwszy się z miejsca, w którem mógł widzieć Annę, pan Michał nie stracił jej jednakże z oczu.

Stała ona przed nim w ciągu drogi, w myślach w marzeniu, w wyobraźni, czarująco-piękna, ale jakoś smutna i łzawa i z jej spojrzenia, z jej postaci zdawało się płynąć do serca pana Michała przekonanie, że mogłaby go pokochać, związać z nim przyszłość swoją, gdyby jej dowiódł że będzie jej godny.

Pan Michał nie starał się oderwać myśli od jej

obrazu, i zdało mu się, że myśląc o niej był lepszym.



X

Skarb.

Kilka godzin upłynęło, a pan Michał był już w Suchej Woli.

Gospodyni, ludzie dworscy, wieśniacy, wszystko co żyło, serdecznie i życzliwie przyjęło syna swego dawnego, poczciwego dziedzica, młodzieńca, któremu w ich cichym zakątku było widać zaciasno, bo z niego wybiegł skoro tylko został panem swej woli i przyjeżdżał z powrotem do niego jedynie po to, żeby się pozbyć ojcowskiej spuścizny, jak gdyby ona przykrym dlań się stała ciężarem.

Nikt w tej cichej prostych ludzi gromadce, nie wiedział i nie troszczył się o to jak stały interesa dziedzica. Wszyscy byli przekonani, że przybywa osiąść stale wśród nich, objąć na siebie zarząd majątku i każdy zdawał przed młodym panem sprawę ze swych całorocznych czynności, gospodyni przedstawiała rachunki prowadzone, jak jej na to nie zbyt biegłe umiejętność czterech działań pozwoliła, to jest wprawdzie bez błędów w dodawaniu na szkodę pańską, ale także bez żadnego systematu i ładu, któryby wejrzenie w rzeczywisty stan interesów ułatwił, a nawet możliwem uczynił.

Pan Michał nie zajmował się bynajmniej wszystkiemi temi szczegółami, raz dla tego, że i on sam o rachunkowości gospodarskiej bardzo ograniczone miał wyobrażenia, a najgłówniej dla tego, że mając na głowie wcale inne kłopoty i w myśli inaksze plany, nie miał ochoty wglądać w szczegóły zarządu posiadłości, którą już uważał za nieswoją.

Wysłuchawszy tedy wszystkich więcej dla tego, żeby ich niechęcią swoją nie urazić, jak żeby się czegoś dowiedzieć—Szerepa strudzony podróżą, powiedział, że pragnie spokojności i spoczynku i oddalił wszystkich z pokoju, który naprędce dla niego przysposobiono i umeblowano, jak było można na folwarku.

Zostawszy sam pan Michał, położył się na kanapie myśląc, że sen chwilowy da mu zapomnieć o gniotących troskach, sen jednak nie chciał spłynąć na powieki zgryzionego młodzieńca i tylko przed oczyma, które jakby się zamykać zapomniały, snuły mu się najrozmaitsze i wesołe obrazy, na tle których wciąż się ukazywała smutna i łzawa postać Anny...

Nie wiemy jak długo młody Szerepa pozostawał w tym nużącym stanie pół-snu, niedostatecznego do odpędzenia widm kłopotu i czarnych mar smutku, dość, że po niejakim czasie postanowił otrząsnąć się z tego odrętwienia i rozerwać.

Rozerwać się?... jak?... książki nie miał pod ręką żadnej i niebardzo może wiedział, ile dobra książka mieści nieraz ponęty i roskoszy dla rozsądnego umysłu. Towarzystwem?... odpowiedniego towarzystwa nie widział między tymi co go otaczali, a gdyby nawet nie był odwykł od ich serdecznego koła, usposobienie w jakiem się znajdował, czyniło wstrętnem dla niego towarzystwo ludzi.

Zapalił tedy fajkę i puszczając obfite kłęby dymu, patrzył nieruchomie w tworzące się zeń chmury, tak podobne do tych chmur czarnych, jakie nad jego przyszłością zawisły.

Później podszedł do okna i wyglądając przez nie szukał przedmiotu, któryby mógł zająć jego wyobraźnią.

W niewielkiej odległości od izby, którą przyrządzono dla niego, stał jeszcze przed kilkunastą dniami dwór Suchowolski, a dziś już tylko sterczały jego zwaliska.

Patrząc w tę świeżą ruinę, zdawało się panu Michałowi, że widzi straszną scenę, która się tutaj tak niedawno odbyła, a którą mu przedewszystkiem i ze wszystkiemi szczegółami, natychmiast po przyjeździe opowiedziano. Z prawdziwą czcią, z uwielbieniem, rozważał bohaterskie poświęcenie się nieznajomego, a myśląc o bezużyteczności tego poświęcenia, mimowolnie zapytywał siebie jaka fatalność ciążyła nad tym człowiekiem, co jego życie tak bezcelowo przecięła?

Badał tak pan Michał jak zwykle badają ludzie, stawiał Opatrzności pytanie: dla czego tak, a nie inaczej się stało? dla czego to i owo stało się bez widocznego celu? jak gdyby mogło coś być bezcelowem w niezbadanych wyrokach Tego, co losami ludzi kieruje!

Zmierzch już szary powlekał okolicę, gdy pan Michał przypatrywał się tak świeżym jeszcze swego domu zwaliskom; po pewnym czasie jednak dostrzegł on łatwo na tle zmierzchu odbijającą się jakąś białą postać, która w tę i ową stronę przesuwała się po ruinach.

Opowiedano wprawdzie panu Michałowi, jakim sposobem Jan Biały był sprawcą pożaru i bezwiedną przyczyną smierci nieznajomego, mówiono mu także o dziwnem upodobaniu, jakie od tej chwili idjota znajdował we włóczeniu się po cmentarzu i po zwaliskach, — wszystkiego tego jednak słuchał młody Szerepa, jak to powiadają pół-uchem, i teraz dopiero gdy z nudów wpatrywać się zaczął w ruiny, przypominać mu się zaczęło to wszystko.

Przyszła mu myśl zobaczenia biednego kaleki i przyjrzenia się szczątkom pogorzałej budowli, odłożywszy więc na bok fajkę, podszedł ku zwaliskom, a spotkawszy tam grajka, zaczął z nim rozmowę.

Jan Biały miewał czasami chwile jaśniejsze, w których dogadać się z nim było można i w których nie unikał ludzi jacy mu się nasuwali, zwykle jednak zapytany o cokolwiek co dłuższej wymagało odpowiedzi, mówił tylko: „odpowiem ci na skrzypkach" i ciął mazura albo krakowiaka, a kiedy słuchacz dosłuchał do końca, czekał od niego odpowiedzi i dopominał się o nią nawet, pewny że był zrozumianym.

W jednej z takich jaśniejszych chwil, biedny kaleka składał swe zeznanie przed sądem; teraz włócząc się po ruinach, zdawał się być podobnież w tem przytomnem usposobieniu, w jakim język jego stawał się dziwnie jasnym, naturalnym i prostym.

Kiedy pan Michał podszedł ku niemu, grajek

nie zważając bynajmniej na jego przybycie, zdawał się być pilnie zajęty jakiemś poszukiwaniem pomiędzy gruzami i zwaliskami.

Pan Michał przez chwilę przypatrywał się jego zajęciu, potem zawiązał z nim rozmowę:

— I czegóż-to tam tak szukasz? Janie, — zapytał.

— Mnie tak coś ciągle mówi i mówi, żebym szukał, — odpowiedział idjota wsuwając rękę pod kupę rumowisk.

Po chwili, wyciągnąwszy dłoń próżną, idjota odwrócił się i przypatrywać się zaczął panu Michałowi.

— To panicz, — rzekł nareszcie, — gdzie panicz był?... tak dawno nie widziałem panicza.

— To ty myślałeś o mnie Janie?

Grajek znowu patrzył na mówiącego, jakby nie rozumiał znaczenia wyrazu: myśleć, którego użył pan Michał i dopiero po pewnym czasie odpowiedział:

— Nie.... Jednego dnia ot tak mi przyszło do głowy, że szukałem panicza po drugiej i trzeciej wsi, po lesie i aż nad Wisłą.... Nie znalazłem i dałem pokój!.... Teraz czego innego szukam.

— Czegóż więc teraz szukasz?

Idjota znowu odpowiedział swoje:

— Ja nie wiem, ale mnie tak coś ciągle mówi i mówi, żebym szukał.

I znów zaczął grzebać po gruzach, a nie znajdując nic dość długo, sam dalej rozpoczął rozmowę:

— Dziś nie ma nic paniczu, dziś mu nic nie zaniosę...

— Komu?...

— Spalonemu.

— Jak to?...

— Eh! bo panicz nic nie wie... on spał, a jego zakopali, tam, het daleko, na mogiłkach... Panicz tam nie był?... Jak panicz tam pójdzie, to zobaczy, że on tam leży... On tu był, kiedy dwór nasz gorzał jak łuczywo, — więc tu różne różności pozostawiał i pogubił, a oni go zakopali i nie może przyjść po swoje. Więc ja co znajdę, to mu i zaniosę, bo to jego... Ot tu, niedawno, w tej dziurze, — niechno panicz zobaczy, — tu były różne rzeczy, a ja mu wszystko zaniosłem.

To mówiąc idjota, wziął pana Michała za rękę i doprowadził do miejsca, w którem w czasie pożaru nieznajomy ukrył swój skarb.

Słowa Jana Białego jakkolwiek bez wielkiego plecione związku, interesować zaczynały pana Michała. Przedewszystkiem przyszło mu na myśl, że gdyby rzeczywiście cośkolwiek z przedmiotów należących do spalonego znaleść się mogło, dopomogłoby to niezawodnie do wykrycia osoby tej ofiary szlachetnego zapału, w śpieszeniu na pomoc bliźniemu.

— Jakież to były rzeczy? rzekł do idjoty.

— Różne różności paniczu, taka gruba książka jak ta co na niéj gospodyni czyta w kościele, tylko zamiast obrazków świętych były jakieś dziwne obrazki, wszystkie jednakowe, oto takie.

To mówiąc, Jan Biały wyciągnął z zanadrza storublowy papierek, pokazał go panu Michałowi, i dodał:

— Oddałem mu całą książkę, tylko jeden obrazek schowałem sobie na pamiątkę.

Spostrzegłszy papier w ręku grajka, pan Michał nie mógł już wątpić, że idjota rzeczywiście znalazł coś, jakąś pozostałość po nieszczęśliwéj ofiarze, że tą pozostałość stanowiły znaczne pieniądze i że kaleka zaniósł to, co znalazł tam, gdzie mu słaby płomyk rozumu jaki jemu w jego głowie wskazał, że zanieść ją potrzeba.

Przekonawszy się o tem, pan Michał zrazu przez chwilę wahał się, jak miał postąpić.

Po krótkim namyśle zdało mu się, że najlepiej będzie nie dać poznać kalece, iż przedmioty znalezione przez niego, mogły mieć aż tak wielką wartość. Postanowił tylko zręcznie wybadać grajka gdzie je podział, a następnie wydostać pieniądze, jeżeli jeszcze było można; z notatek, jeżeliby się jakie znalazły wykryć osobę spalonego, odszukać jego rodzinę i ponieść jéj smutną wiadomość o stracie ojca, a jednocześnie pocieszyć ją w jej smutku i boleści, choć tą pociechą, jaką dać może zwrot mienia uważanego za utracone.

— Dużo było takich obrazków? zapytał idjoty.

— Pełno, odpowiedział kaleka,—kartek w książce niewiele, a reszta same obrazki....

— I to wszystko oddałeś spalonemu?

— Oddałem paniczu.

— Jakżeś oddał, kiedy go zakopali, jak mówisz?

— Jak? roześmiał się idjota, — a to dopiero!.... jak?.... Jużci kiedy jego zakopali, to i ja zakopałem tam, gdzie on leży.... Będą mu potrzebne, to sobie znajdzie....

— Jakto?..... w grobie?..... na cmentarzu?.....

— A jużci na mogiłkach... gdzież panicz chciał?...

Tu nowa myśl przebiegła przez głowę panu Michała i zapytał się bardzo zaniepokojony:

— I powiedziałeś ludziom na wsi, — że tak zrobiłeś?...

— Nie powiedziałem... a ludziom co do tego?...

Szerepa odetchnął. Dalszym jednak wnioskiem tej saméj myśli, która go zaniepokoiła przed chwilą było przypuszczenie, że idjota chociaż dotąd nikomu o tem nie powiedział, teraz właśnie przed każdym rozpowiadać zaczyna. Uderzony tem przypuszczeniem pan Michał, zadał nowe pytanie grajkowi:

— Nie mówiłeś ludziom, to dobrze, lecz dlaczegożeś teraz mnie powiedział.

To zapytanie pomięszało wszystkie szyki Janowi Białemu i poplątało resztki słabej jak pajęczyna logiki w głowie kaleki...

— Dla czego ja paniczowi mówię, a ludziom nie powiedziałem? — powtórzył i zamyślił się, dla czego mówię?.... albo ja wiem dla czego.... może ja źle robię, że mówię... mnie tak coś powiada, że źle robię.

Pan Michał spostrzegł, że wcale nie w porę zagadnął obłąkanego o logikę jego postępków.

— Nic złego nie robisz — mówił, chcąc błąd swój naprawić i zachęcić grajka do dalszych zwierzeń,— owszem.. przeciwnie...

Idjota patrzył na niego dziwnym wzrokiem i milczał.

Szerepa znał kalectwo Jana Białego i wiedział, że rzadkie chwile jego przytomności kończą się tak prawie nagle jak zaczęły, a gdy taka chwila przeminie, długo potem z grajkiem dogadać się niebyło podobna. Grał wtedy, płakał, śmiał się, gestykulował. We wszystkiem tem jednak żadnej myśli nie było i żaden środek nie był skutecznym, ażeby się czegokolwiek od niego dowiedzieć było można, widząc więc, że myśl grajka zbłąkała się i że węzły jéj zawiązane chwilowo pęknąć znów gotowe na

długo, szybko rzucał pytanie za pytaniem w nadziei, że choć na jedno otrzymać zdoła odpowiedź.

— A nie zaprowadziłbyś mnie na cmentarz, ja chciałbym wiedzieć, gdzie to go zakopali? nie pokazałbyś mi gdzie zakopał tę książkę, może ty ją niedobrze zakopałeś.... niedość daleko, to on nie znajdzie. Pójdziesz ze mną?

Na każde z tych pytań i propozycji Jan Biały, wstrząsał tylko głową przecząco.

Była to jedyna odpowiedź, jaką pan Michał wydobył z kaleki na te i na wszystkie następne, jakie mu zadawał pytania.

Widząc, że nic już dalej nie poradzi z idjotą, na którego ani słowa praekonania, ani rozkaz, ani pogróżki wpływu mieć nie mogły, pan Michał odszedł od zwalisk pozostawiając w nich Jana Białego z myślą wynalezienia skarbu, na zasadzie tych niedokładnych wprawdzie wskazówek, jakie mu się dotąd od grajka otrzymać udało.

Zrazu zdawało mu się, że do tego bez czyjejś pomocy dojść nie będzie podobna, myślał więc komuby powiedzieć o tem, że po spalonym znalazły się papiery, że te papiery zakopane są w jego grobie i że je ztamtąd dobyć należy. U siebie na wsi nie widział nikogo, ktoby mógł mu dopomódz w tej czynności, postanowił więc poczekać do dnia następnego i zabrać się do tej sprawy z pomocą proboszcza osieckiego, na osieckim bowiem cmentarzu złożone były zwłoki spalonego.

Z takiem postanowieniem poszedł spać, mając zamiar nazajutrz skoro świt, pojechać do miasteczka ledwie o kilka wiorst oddalonego.

Jednakże myśl o zakopanym skarbie, nie dawała mu zmrużyć oka.

Zdawało mu się, że zbłądził, odkładając tę rzecz do jutra. Idjota tak jak jemu powiedział o pieniądzach mógł powiedzieć i innym, wiadomość mogła sią roznieść szybko i wpaść w uszy takiego człowieka, co nie obawiałby się dla wydobycia i przywłaszczenia sobie skarbu, poruszyć poświęconej ziemi cmentarnej. Jeżeli się tak jeszcze nie stało, to stać się może lada chwila: przywłaściciel skorzysta z bliskości granicy austryjackiej i mienie dzieci, żony, krewnych lub rodzeństwa nieznajomego, przepadnie na wieki, przepadnie nawet jedyna wskazówka posłużyć mogąca do odkrycia człowieka, co tak bohaterską śmiercią szlachetne swe życie uwieńczył.

Z wszystkich tych rozumowań wypadało jak najjaśniéj, że pozostawiać chociażby przez jedną noc pieniądze tam, gdzie je zakopała ręka warjata, było najgrubszym błędem i lekkomyślnością.

Pan Michał zaczął sobie wyrzucać, że tak gruby popełnił błąd, a chcąc go natychmiast naprawić, wstał zaraz z łóżka, ubrał się i postanowił udać się do proboszcza przekonany, że w tak ważnej okoliczności nawet w nocy go zbudzić należy i do działania przystąpić wypada.

Chwilę tylko myślał Szerepa, czy kazać założyć do bryczki, czy dosiąść konia i wierzchem pojechać i jakoś — niewiadomo bardzo dlaczego? — postanowił nie robić ani jednego, ani drugiego.

Zdawało mu się niewłaściwem, iżby ktokolwiek wiedział że się wydala w nocy. Szło mu o to, żeby uniknąć plotek, domysłów. Miał na to tysiąc racij, z których każda w rzeczystości była niedorzeczniejszą od drugiej, ale które wszystkie tej nocy z dziwną łatwością trafiały do jego przekonania.

Wyszedł zatem piechotą.

Do Osieka nie było tak daleko, droga zresztą prowadziła niezgorsza, pan Michał znał ją dobrze, tamtędy zatem iść był powinien; tej nocy czy skutkiem bezsenności, czy gorącéj żądzy ocalenia od zniszczenia spuścizny nieszczęśliwego, Szerepie dziwna jakaś przychodziła dyplomacja.

Zamiast iść ujeżdżoną i znaną wszystkim drogą, puścił się manowcami ku miasteczku — manowcami, w których mógł zbłądzić, a przedewszystkiem zamoczyć się lub nawet wpaść w dół jaki, lub innej tympodobnej doznać przygody.

Noc była pogodna, jasna, miesięczna, każdy inny na miejscu pana Michała, cieszyłby się z tej sprzyjającéj okoliczności, jemu i to zdało się nie na rękę... wolałby burzę, zawieję, a ciemno, ciemno przedewszystkiem.

Idąc, powtarzał sobie półgłosem: że działać będzie w tej sprawie jawnie i wspólnie z proboszczem; powtarzał sobie wiele razy, jakby się bał, żeby nie zapomniał o tem postanowieniu.

Mimo to wszystko jednak, niewiadomo jak się to stało, że droga panu Michałowi wypadła nie na plebanją, ale wprost na cmentarz.

Koguty wiejskie piały właśnie na północ, kiedy młody Szerepa oglądając się, nie wiedząc czemu, czy go kto nie widzi, przełaził przez płot ogradzający cichą siedzibę umarłych. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

ŚLEDŹ.

Śledź jest niby zbożem morskiem. Przyroda zasiała go obficie, tak w strefie północnej jak i umiarkowanej, tylko południe nie posiada, ale liczne gatunki tejże samej rodziny a między innemi serdele, dostatecznie go zastępują.

Śledź należy do rzędu ryb skrzelowatych, brzuchopłetwych, kościstych.

Przypatrzywszy się mu bliżej znajdujemy, że śledź tak co do kształtu jak i zewnętrznego pokrycia, wcale jest piękną rybą. I gdyby był tak rzadki jak jest pospolity: podziwialibyśmy jego zgrabną formę, jego modro-zielone pokrycie grzbietu a białe na bokach i brzuchu, ten wreście połysk srebrzysty, którym się lśkni niewielka ta ryba

Szczęściem blask ten tak jest znikomy, jak życie stworzenia nim przyozdobionego; pominąwszy to, że śledź z wody wydobyty zaraz żyć przestaje, nadmienić należy, że lubo złowiony jeszcze przez parę godzin w koszyku skacze, to jednakże mając nadzwyczaj subtelny organ słuchu, za zetknięciem się z powietrzem suchem, zaraz umierać musi. Od tej też chwili traci kolor swój zielony, przybiera kolor niebieskawy co raz bardziej ciemniejszy.

Pęcherzyk powietrzny wzdłuż żołądka aż do ogona się ciągnący, sprawia, iż sledź nie tylko wielką na wodzie słonej utrzymuje równowagę, ale nadto giętkością swego ciała nadzwyczaj zręczne ruchy wykonywać może. Zresztą kształt tej ryby, układ jéj organów, czyni z niej istną jaskółkę morską, tak jest lekką, zwinną i prędką w ruchach.

Czy śledź odbywa podróże?

Anderson mówi twierdząco, Valenciennes zaś zaprzecza temu.

Któryż więc z nich ma słusznosć?

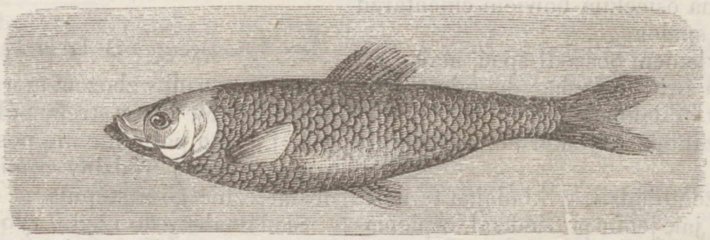
Opinja Andersona datuje się od roku 1728 i największa część naturalistów aż po dzień dzisiejszy powtarzają słowo w słowo, dopiero Valenciennes znalazł, że teorja tych zadziwiających podróży, z li-

cznemi faktami niewątpliwie wiarogodnemi, zostaje w sprzeczności.

Podług Andersona, głębie morza północnego w bliskości biegunów, są ojczyzną śledzi. Ściśnięte w potężne kolumy, z początkiem wiosny w ruch się wprawiały, na dwa się ogromne dzieląc hufce jeden, ze strony prawéj, kierujący się na zachód, idzie około Islandji i posuwa się aż do Nowej ziemi, rozproszywszy się nareszcie w różnych zatokach Ameryki.

Skrzydło lewe idąc morzem północnem wdłuż Norwegji, przybywszy do brzegów Jutlandji dzieli się na dwie odnogi, z których jedna wkracza w cieśniny Baltyku, druga zaś dalszą przebywając drogę, opływa Slezwig, Holsztyn, Bremę i Fryzją, wpływa do Zujderzee i rozmnarza się w morzu Niemieckiem.

Śledzie poławiają się zwykle w głębokości trzydziestu, czterdziestu, a nawet pięćdziesięciu sążni, lecz przebywają daleko głębiej, czasami na dwieście sążni głębokości i dzieje się to zwłaszcza w czasie burzy, w wielkich bowiem głębokościach burza nie ma miejsca i spokój panuje. Zimno mniej im dokucza jak burze. Często można widzieć wśród surowéj zimy w nocy spokojnej, gdy księżyc świeci na niebie, kolumny śledzi pięć do sześć mil (francuzkich) długie i tyle prawie szerokie, poruszające się na powierzchni morza. Te niezmierne ławy, zdumiewające ilością sztuk z których się składają, wydają się być olbrzymiemi kobiercami błękitnawo-srebrnemi, połyskującemi ogniem drogich kamieni i fosforescencją z nich się wydobywającą.



Śledź (Rysowała i wycięła na drzewie Boczarska).

Gdy na powierzchni morza śledzie przeciągają, czasem wystawiają głowy z wody celem nabrania powietrza, a skacząc i nurzając się, sprawiają łoskot podobny do spadania wielkich kropli podczas ulewnego deszczu.

W czasie zimy śledzie wiele tracą na żywości swej; jednakże dowiedzionem jest, że z łatwością znoszą zimno, albowiem znajdują je nawet pod lodami oceanu Lodowatego, zkąd dopiero w czasie roztopów w inne udają się strony.

Śledź, powiada Couch, niepozostaje długo na jednem miejscu i niemożna oznaczyć z pewnością ani epoki jego przybycia, ani też jak długo przebywać będzie na jednem miejscu.

Filografja zwykle nie jest zadowoloną, gdy na wszystko zaraz nie znajdzie rozwiązania, jednakże czasami przypuszczaniami zadowolić się musi. Tak np. utrzymują ze śledzia wypłoszono z brzegów wysp Hebrydzkich założeniem fabryki sody, chociaż ogień fabryk tych gdzie indziej wpływu tego wywierać się nie zdaje. Jest także inne jeszcze mniemanie ludowe: że strzelanie wypędza śledzie i dla tego zakazano strzelać w czasie połowu. Utrzymują również, że śledzie wypłoszono z morza Baltyckiego strzelaniem w czasie bitwy pod Kopenhagą. Szkoci dowodzą, że przed wynalezieniem prochu nad brzegami ich zawsze wielki był połów śledzi; zdaje się jednak że to wszystko zadawniałe są tylko przesądy.

Śledź żywi się drobnemi muszelkami, szlimakami, młodemi rybkami, nawet własnego swego gatunku i innemi zwierzęcemi ciałami, nieraz będącemi nawet w stanie rozkładu, albowiem ryba ta mnóstwem w gardzieli i szczęce ugarnirowana zębów, za mięsożerne poczytywane być może stworzenie.

Płodność jego jest ogromna. Zauważano że gatunek śledzi składa się z 7 razy większej ilości samic jak samców.

Co do ilości jaj, które jeden obejmuje ikrzak, wynosi ona stósownie do wielkości gatunku 24 do 36 tysięcy, a nawet podług Boha 68, a podług Yarella 70 tysięcy!

Gdy się ława śledzi zbliża dla tarcia na brzegi lądu, co w miesiącu Październiku nad brzegami Anglji, a w miesiącu Listopadzie nad brzegami Francji ma miejsce, pomiędzy samicami wielki nastaje ruch, zaczynają się one ocierać brzuchami o skały, piasek lub gałęzie morskich roślin. Tym sposobem rozsypują swe jaja, któremi nieraz na kilka cali, całe dno morza się pokrywa.

Niewiadomo jest dokładnie ile ikra do wykłucia się potrzebuje czasu, lecz spostrzegano już w końcu Stycznia na dnie zatok olbrzymie massy drobniutkich jak szpilka ryb, które rybacy uważają za śledzie.

Śledzie te rosną nadzwyczaj szybko, albowiem już w miesiącu Kwietniu 5 do 7 mają cali długości. W tym czasie od brzegów oddalać się zaczynają i tylko burze i fale napowrót je do brzegów przypędzają.

Połów śledzi jest jednym z najkorzystniejszych przemysłów w Europie i najwięcej też rąk zatrudnia. Każdy nadbrzeżny statek dobry jest do użytku tego, lecz gdy ryba ta nazbyt szeroką ciągnie ławą, to natenczas używają do tego odrębnych statków. W miesiącu Czerwcu i Lipcu połów odbywa się na brzegach Anglji, później na wszystkich brzegach morza Niemieckiego, a w końcu w cieśninie La Manche. Podług prawa, łowienie ustaje w końcu miesiąca Grudnia.

Juljan Izert.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

Scena. Śród gęstego boru na wązkiej dróżynie, spotykają się dwa jednakowe wózki na przeciw siebie jadące. W nich siedzą w kapotach podżyli wąsacze w baranich czapkach i sami powożą. Przy wymijaniu się zagadnął:

Wojciech. Wasze od kiela?

Jędrzej. A z Zabrodzia.

Wojciech. To wasze szlachcic!

Jędrzej. O la Boga! a wasze zkąd?

Wojciech. z Zalesia.

Jędrzej. To i Wasze szlachcic?

Wojciech. Jeszcze by też! heta wio!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.